

**SERCE
W OGNIU**

BURZLIWE ŻYCIE
JOSEPHINE
BAKER

**ELŻBIETA
SIERADZIŃSKA**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Elżbieta Sieradzińska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Są ludzie, którzy nigdy nie przemijają.

Grace Kelly, księżna Monako

Trzeba zapomnieć o przeszłości, by ruszyć naprzód.

Forrest Gump, reż. Robert Zemeckis

Od autorki i wydawcy

Lata, w których żyła bohaterka tej książki, przypadły na okres, kiedy w Ameryce Północnej i w wielu krajach świata panuje bezwzględny rasizm, a polityczna poprawność jako wzorzec funkcjonowania społeczeństwa nie istnieje. Niniejsza książka zawiera słownictwo wówczas powszechne we wszystkich sferach życia, a dziś całkowicie niedopuszczalne, zarówno z punktu widzenia społecznego, etycznego, jak i prawnego. Jednak trudno, nie używając go, oddać nastroje, klimat i charakter tamtych czasów, tak w Stanach Zjednoczonych początku XX wieku, jak w Europie. Jego użycie w tej książce należy jednak traktować wyłącznie na prawach historycznego cytatu.



Portret Josephine Baker, zrobiony 20 października 1949 roku w Paryżu
przez Carla Van Vechtena

PROLOG

Jak zimne są wody Morza Śródziemnego u wybrzeży Korsyki o tej porze roku? Jest czerwiec, więc ich temperatura nie powinna spadać poniżej 19 stopni Celsjusza, ale pływacy o tym nie myślą. Widzą tylko kołyszący się na wodzie kadłub maszyny. Szybko, szybko, jeszcze szybciej. Silnymi ruchami ramion rozgarniają fale. To strzelcy senegalscy, żołnierze armii francuskiej. Są na przepustce. Leżeli sobie beztrzesko na plaży, gdy nadleciał samolot. Od razu zauważyli, że coś jest z nim nie tak. Wyraźnie tracił wysokość. O tym, że oba silniki odmówiły posłuszeństwa, wiedzieć nie mogli, za to widzieli, jak wszelkie próby poderwania maszyny przez pilota spelzły na niczym. Było pewne, że samolot spróbuje wodować, ale równie dobrze mógł rozbić się o powierzchnię. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zderzenie z wodą. Potężna fala ogromniała, rosła wysoko ponad kadłub, wreszcie zwolniła i zaczęła opadać.

Z piany i ze spiętrzonych fal wyłonił się Caudron C.440 Goéland z wymalowanym na kadłubie krzyżem lotaryńskim – w lipcu 1940 roku ten dawny symbol diuków Andegawenii i Lotaryngii, dumnie noszony przez Joannę d’Arc, stał się oficjalnie symbolem oporu wobec niemieckiego okupanta, wątpliwości więc nie było: to maszyna Wolnych Sił Powietrznych Francji. Po chwili wszystko się uspokoiło, samolot unosił się swobodnie na rozkołysanych falach. Strzelcy wskoczyli do wody. Nie mają żadnego sprzętu ratowniczego, płyną wpław. Jak długo? Ile starczy sił. Wreszcie kołyszący się na falach żółto-zielony kadłub jest na wyciągnięcie ręki. Jeszcze parę chwil i... strzelcy nie mogli uwierzyć własnym oczom. Na skrzydle maszyny stanęli rozbitkowie, trzech mężczyźni w lotniczych kombinezonach – i to było w porządku – ale co na pokładzie, a raczej na skrzydle wojskowego samolotu robi kobieta? W dodatku tak elegancka, czarnoskóra i piękna. Po prostu piękna! Senegalczycy otrząsnęli się ze zdziwienia, otoczyli samolot i doholowali do portu Coti-Chiavari. No, może nie do samego portu. Zanurzeni w wodzie po pierś, przenieśli na plecach rozbitków na suchy ląd. Oczywiście ją najpierw!

W dzienniku pokładowym, zachowanym w Departamentalnym Muzeum Ruchu Oporu i Deportacji w Tuluzie, pod datą 6 czerwca 1946 roku można zobaczyć cztery kolorowe, trochę dziecinne rysunki i zwięzły opis zdarzenia, sporządzony równym, niemal technicznym pismem kapitana. Na koniec dowódca dodał żartobliwie: „Należy zaznaczyć, że [Senegalczycy] nie mieli na sobie kąpielówek”, chociaż powodów do żartów nie było. Dwóch strzelców nie wróciło na brzeg. Pod notatką widnieje potwierdzający zdarzenie zamaszysty, złożony czarnym atramentem podpis: Josephine Baker!

I

BURE WODY MISSOURI

St. Louis blues

„Jestem szczęśliwa, że urodziłam się właśnie tu, w moim kochanym mieście”, szczerze bohatarka muzycznego filmu Vincentego Minnellego *Spotkamy się w St. Louis* (*Meet me in St. Louis*) z roku 1944. W scenie końcowej bohatarka dodaje: „To nasze miasto, nasze St. Louis! I takie wspaniałe rzeczy to tylko tu”. O jakich to wspaniałościach papie córka filmowego zamożnego prawnika, pana Smitha, z miasta nad Missouri? O jednej z najważniejszych wystaw epoki postwiktoriańskiej, światowej ekspozycji z 1904 roku, pokazującej wszelkie ówczesne zdobycze nauki i handlu.

Akcja filmu rozgrywa się podczas intensywnych przygotowań do wystawy w idyllicznym, cukierkowym i wymuskany świecie St. Louis – czy raczej jego dzielnic dla bogatych. Ów świat równiutko przystrzyżonych miejskich trawników, starannie ubranych i równie starannie wychowanych dziewcząt, grających w tenisa i zajmujących się głównie problemem znalezienia sobie miłego męża może się podobać, ale także zmylić. I myli. Widz, wciągnięty w rodzinne problemy zamążpójścia córek i muzyczne popisy znakomitej Judy Garland, nie podejrzewa, nie wie, a jeśli nawet wie, to zapomina, iż istniało także inne St. Louis i inne problemy. W całym filmie nie pojawia się ani razu niebiała twarz, a jeśli już, to wyłącznie w roli praczki, służącej czy kucharki. Czarni mieszkańcy St. Louis istnieli, owszem. Tylko że to, czym było ich życie, trudno nazwać istnieniem.

W końcowej scenie główna bohatarka filmu Minnellego papie dalej: jest taka szczęśliwa, że te wszystkie wspaniałości i cudenka wystawy to właśnie tu, w jej cudownym mieście. Tymczasem w jej mieście jest pewien most, a za tym mostem

jest zupełnie inny świat, w którym o tych eksponowanych na wystawie wspaniałościach nikt nie ma pojęcia. Ten świat jest daleko. Tak jak w niefortunnej wypowiedzi Billy'ego Crystala, prowadzącego ceremonię wręczenia Oscarów w 2012 roku: „Po obejrzeniu [filmu] *Służące* – oznajmił z dumą i zadowoleniem – chciałem uściskać pierwszą czarną kobietę, którą zobaczę. Z Beverly Hills to tylko 45 minut jazdy samochodem”¹.

W III Igrzyskach Olimpijskich, kolejnym wydarzeniu o zasięgu światowym, które również w 1904 roku odbywa się w St. Louis, uczestniczy tylko jeden czarnoskóry – w ramach „dnia antropologicznego”, obok przedstawiciela plemienia Siuksów, Pigmeja i mieszkańca Filipin.

Gdy w kwietniu 1904 roku prezydent Theodore Roosevelt zaprasza do St. Louis wielu eminentnych polityków z całego świata i świętuje, z rocznym opóźnieniem, setną rocznicę kupienia Luizjany od Napoleona, czarna społeczność miasta radować się nie ma z czego, a nawet jeśli by miała, to nie bardzo miałaby gdzie. Nie wolno jej nic albo niewiele, może tylko wegetować. Biali mają swoje bary i restauracje, swoje środki transportu i swoje dzielnice. Tak jest w całej Ameryce, choć są miejsca, na przykład po drugiej stronie mostu, w East St. Louis, czyli już w stanie Illinois, gdzie jest nieco lepiej, inaczej. Właśnie tam, dwadzieścia dwa lata później, w dość zamożnej, afroamerykańskiej rodzinie urodzi się Miles Dewey Davis III, czyli po prostu Miles Davis. Jazda konna, nauka gry na trąbce, prezenty...

To zupełnie inny świat od tego, w którym w niedzielę, 3 czerwca 1906 roku o godzinie 11.00 – choć w niektórych biografiach pojawia się także rok 1901 lub 1903 i godzina 14.00 – w miejscowym szpitalu przychodzi na świat Freda Josephine McDonald. Mała tak się wierci, że wyslizguje się z rąk lekarza, ale szczęśliwie udaje mu się złapać ją w locie. Jest okrągłutka jak Humpty Dumpty, jajowata postać z rymowanek dla dzieci i z książki *Po drugiej stronie lustra*, drugiej części *Alicji w Krainie Czarów*, więc natychmiast dostaje przydomek Tumpie, choć być może też to sama Freda prosiła w kolejnych latach, by tak się do niej zwracać. Czy, tak jak bohaterka filmu Minnellego, Freda-Josie-Tumpie będzie taka szczęśliwa, że urodziła się właśnie tu, u zbiegu rzek Missouri i Missisipi?

* * *

Osadę założyli w 1764 roku trzej Francuzi: pewien handlowiec z Luizjany i dwóch kolonistów. Jako że cała południowo-wschodnia część Ameryki należała jeszcze wówczas do korony Francji, nazwali ją St. Louis, na cześć króla Ludwika IX, zwanego Świętym. Gdy w kwietniu 1803 roku Francja ostatecznie pozbyła się Luizjany



Widok na St. Louis w 1906 roku. W centrum Union Station

za 23 213 568 dolarów, ekspansja osadnictwa na zachód przyspieszyła. St. Louis odegrało w niej znaczącą rolę dzięki korzystnemu położeniu u zbiegu rzek Missouri i Missisipi; zyskało nawet przydomek Bramy na Zachód. Dla napływającej rzeszy imigrantów z Europy Wschodniej, z Włoch, Niemiec, Grecji, Hiszpanii, Irlandii czy nawet z dalekiej Syrii osada, a wkrótce miasteczko, jawiła się, nie bez racji, prawdziwą ziemią obiecaną. Gwałtownie się rozrasta. W 1803 roku zamieszkuje ją około pięciu tysięcy Afroamerykanów, głównie niewolników, ale również wiele kobiet i mężczyzn wyzwolonych. Francuskie normy i wzorce społeczne odciskają tu swoje piętno: dobrze wyuczona czarna służba jest oznaką wysokiego statusu społecznego właściciela, dlatego część byłych niewolników potrafi czytać i pisać, ma nawet podstawowe umiejętności rzemieślnicze, które ich właściciele starają się rozwijać, oczywiście wyłącznie dla własnych korzyści i tylko do pewnych granic.

Płodna gleba, świetna lokalizacja, dobre połączenia komunikacyjne drogą wodną i lądową sprawiają, że miasto szybko się rozwija. W 1894 roku w samym centrum, na powierzchni półtora hektara powstaje słynny, największy wówczas na świecie dworzec kolejowy Union Station, na którym krzyżują się czterdzieści

dwie ogólnokrajowe linie transportowe. Miasto staje się ważnym ośrodkiem przedziałunkowym, a kompanie budujące linie kolejowe potrzebują taniej siły roboczej, więc po wojnie secesyjnej ku tej ziemi obiecaney ruszają tysiące byłych niewolników. Wielu osiadłże właśnie w St. Louis, które jak szybko się okaże, ziemią obiecaną w żadnym razie nie jest.

W 1900 roku St. Louis jest już czwartym co do liczby mieszkańców miastem Stanów Zjednoczonych – po Nowym Jorku, Chicago i Filadelfii. W latach 1910–1930, w okresie tak zwanej wielkiej migracji Afroamerykanów, w centralnej części miasta Mill Creek Valley osiedlają się kolejne dziesiątki tysięcy przybyszów. O pracę jest coraz ciężej. Wkrótce na osiemset tysięcy robotników przypadać będzie sto tysięcy czarnoskórych, sto tysięcy „szczęściarzy”, którzy pracę mają: ciężką, upadlającą i ponad siły, ale pozwalającą jako tako przeżyć.

Głównymi życiodajnymi siłami St. Louis są przemysł i rzeka, tak jak w słynnej piosence *Ol' Man River* Oscara Hammersteina II i Jerome'a Kerna z musicalu *Show Boat* z 1927 roku: „Missisipi, o, Missisipi / Gdy czarny bieg twój wściekłością kipi / My zawsze razem, ty, wielka rzeko, i my / Missisipi, nasz statek pełny naszego trudu i stert bawełny/ To ty i życie, i przeznaczenie, i my”². Missisipi płynie leniwie, ale bez ustanku. Kłęby czarnego dymu z kominów statków sięgają chmur, wkręcają się w nie, przesłaniają niebo. W porcie sprzedaje się i wywozi z niego wszystko: bawełnę, drewno, ziarno, mąkę, maszyny, kukurydzę. Wszystko to, co urosło na tej ziemi i co wyprodukowały kopjące fabryki smoki, siedliska rojących się bezustannie mas biedoty, spracowanej i pozbawionej nadziei na lepsze jutro. Nad wszystkim unosi się ryk okrętowych syren, czasem gdzieś odzywa się schrypnięty głos trąbki. Wielkie miasto, zimne, bezduszne i podzielone.

* * *

Bęben taktowy Eddiego uparcie wybija rytm. Chłopak gra, gdzie się da, jak setki czarnych muzyków w St. Louis i w innych amerykańskich miastach i miasteczkach: na pogrzebach, paradach, w knajpach, w burdelach. Jak trafi się lepszy klient, to i w salonach. Eddie jest tutejszy, ma niewiele ponad dziewiętnaście lat i hiszpańskie korzenie, jest perkusistą. Nie występuje sam. Obok, na prowizorycznej scenie tańczy jego dziewczyna, niedużo młodsza Carrie, a dokładniej Caroline Thomas McDonald, urodzona w 1886 roku w Karolinie Południowej, tysiąc sześćset kilometrów na południowy wschód od St. Louis. Światowa wystawa w 1904 roku była świetną okazją do znalezienia pracy, więc z głębokiego Południa do St. Louis przyciągnęło tu mnóstwo czarnoskórych. Przyjeżdża też i matka Carrie, Elvira³

McDonald, z rodziną. Ma nadzieję na lepsze życie, chociaż ta ziemia czarnym obywatelom nigdy nie sprzyjała, a cały stan Missouri to tradycyjna ostoja niewolnictwa i segregacji. Dziś, by się o tym przekonać, wystarczy wejść do miejscowego Missouri History Museum. Pinezki na wielkim planie miasta oznaczają miejsca, w których niewolników najpierw „magazynowano”, potem sprzedawano i wywózono do miejsca przeznaczenia. Niektóre ulice, których nazwy pochodzą od nazwisk słynnych handlarzy niewolników, choćby Williama Lyncha (Lynch Street) czy braci Vandeventer, istnieją do dziś.

W 1800 roku młody, zdrowy i zdolny do ciężkiej pracy niewolnik, który kilkumiesięczną podróż pod pokładem „statku wstydu” przetrwał w dobrym stanie fizycznym, mógł kosztować nawet 500 dolarów. W stanie Missouri trzy czwarte niewolników pracowało na roli. Bez zgody właściciela nie mogli się przemieszczać, uczyć się czytać i pisać. Każde, nawet najdrobniejsze nieposłuszeństwo karane było razami, wymierzanymi batem ze stalowymi końcówkami i zakuwaniem w kajdany. Wystarczyło samo posądzenie o lenistwo. Bicie, gwałty czy uśmiercenie niewolnika były na porządku dziennym i właściwie nigdy nie były ścigane przez prawo. Po wojnie secesyjnej można było sądzić, że wygrana Północy położy kres niewolnictwu – ale nic bardziej mylnego. Czterdzieści akrów ziemi i mulicę, oto co obiecywała Afroamerykanom – żalosna rekompensata za dwieście pięćdziesiąt lat wyzysku, gwałtów i krzywd, której de facto i tak nigdy nie otrzymali.

Cztery lata po zakończeniu wojny secesyjnej byli niewolnicy nadal nie mieli nic – poza długami, których nie byli w stanie spłacać, więc w dalszym ciągu byli całkowicie uzależnieni od dawnych właścicieli. Oczywiście były wyjątki, jak urodzona w Luizjanie w 1867 roku sławna Madam C.J. Walker⁴, w młodości biedna jak mysz kościelna praczka, a później bizneswoman, filantropka, działaczka polityczna i społeczna, pierwsza afroamerykańska milionerka. W wieku czternastu lat wyszła za mąż i osiadła właśnie w St. Louis. Ale gdy w 1919 roku Madam odchodzi z tego świata, mała Tumpie McDonald nic o niej nie wie; ma wówczas dopiero trzynaście lat i nawet nie przyjdzie jej do głowy, że z tego piekła da się wyrwać.

* * *

Elvira, matka Carrie i babka Tumpie, należy do pierwszego pokolenia urodzonego już po zniesieniu niewolnictwa. Wychodzi za mąż za Richarda McDonalda i w 1886 roku, w Little Rock w Arkansas rodzi dziewczynkę, której da imię swojej siostry, Caroline – Carrie. Rodzi lub, zdaniem niektórych biografów, adoptuje. Po przeprowadzce do St. Louis siostry zajmują mieszkania na drugim piętrze

niewielkiego domku w Mill Creek Valley. Jak większość czarnych kobiet, Elvira i jej druga córka, Elvara, pracują jako praczki, ciężko i długo, ale pilnują, by dziewczynka chodziła do szkoły i odrabiała lekcje. Trzeba ostro walczyć, by dorównać białym, twierdzi ciotka Elvara.

Carrie będzie pierwszą osobą w rodzinie, która nauczy się czytać i pisać, ale, jak większość czarnych dzieci, edukację zakończy na szkole podstawowej. Bardziej niż szkoła pociąga ją ulica, chłopcy i potańcówki: w klasie się nie wyróżnia, za to na parkiecie jest nie do pobicia. Wyrasta na ładną, zgrabną, wysoką Murzynkę (określenie to było w tamtych czasach w powszechnym użyciu) – czy raczej Metyskę, bo podobno po babce Elvirze w jej żyłach płynie również krew Apalaków, jednego z rdzennych plemion północnoamerykańskich. Podobno stąd jej prosty nos i wysokie kości policzkowe. Niekiedy przyznaje się także do korzeni senegalskich. Nosi się prosto i pewnie, nic więc dziwnego, że znajduje pracę jako kelnerka. Długo jednak nie popracuje i w końcu trafia, jak matka, do pralni ciotki Elvary. Któregoś dnia poznaje swego mężczyznę, Eddiego.

W swych wspomnieniach Josephine będzie twierdzić, że jej rodzice poznali się w szkole; że nie chciano, by się pobierali, więc gdy postavili na swoim, w odwecie rodziny się ich wyrzekły. Podobno małżeństwo szybko się rozpadło, dlatego że Eddie pracował z dala od domu. Gdy pięcioletnia Freda idzie do szkoły, Carrie mieszka z matką i babką i pracuje w pralni ciotki Elvary. Zgrabna historia, tylko czy aby na pewno prawdziwa? Raczej nie, podobnie jak fotografia, którą wszystkie źródła opisują jako autentyczne zdjęcie małej Fredy. Dziewczynka ma na nim ciemną karnację (za ciemną), wielkie, smutne, czarne oczy i wzrok utkwiony w czymś, co znajduje się obok obiektywu. Do utrwalenia pomyłki przyczynia się sama Josephine: w 1931 roku zamieszcza zdjęcie w książce Marcela Sauvage'a *Aventures et voyages de Joséphine Baker* [Przygody i podróże Josephine Baker] z własnoręcznym podpisem w poprzek kartki: „Wasza Josephine jako dziecko o skórze koloru „kawy-z-mlekiem”⁵. W rzeczywistości sfotografowana dziewczynka ma czarny kolor skóry i jest to najprawdopodobniej przyrodnia młodsza siostra Josephine Margaret. Czy Josephine o tym wiedziała? Najpewniej tak, ale przecież nie była to jedyna z podkolorowanych lub wymyślonych przez nią opowieści. I co z tego? Jak często mawiała: „Ja nie kłamię, ja poprawiam życie”.

Pewne za to jest jedno. U początku związku Carrie McDonald i Eddiego Carsona leży to, co stanowiło sedno kultury czarnej społeczności Ameryki: muzyka i taniec. W muzyce szczególną rolę odgrywała tradycja religijna, a w niej spiritualsy, czyli tradycyjne pieśni Afroamerykanów, wywodzące się z czasów niewolnictwa. Oczywiście rozbrzmiewały one głównie w kościołach, ale nie tylko – także w barach,

domach publicznych czy kawiarniach. A wraz z muzyką rozwijało się to, co Carrie kochała najbardziej – taniec.

W południowych stanach ogromną popularnością cieszył się cake-walk, wywodzący się z *walk around*, tańca charakterystycznego dla przedstawień *minstrel shows*. Biali artyści udawali w nim Afroamerykanów, malując sobie twarze i ręce na czarno. Zaś cake-walk, szybki taniec wykonywany z przesadną formalnością (wyprostowana postawa, eleganckie, uroczyste ruchy), interpretowano na dwa sposoby. „[...] biali malują się i robią sobie z nas żarty dla zabawy” – mówi Norman, przyjaciel Jima, bohatera uhonorowanej w roku 2025 Nagrodą Pulitzera powieści Percivala Everetta *James*. „Ale przecież tak właśnie się z nich naśmiewamy” – opowiada Jim. „[...] ale oni tego nie rozumieją. Im nawet nie przyjdzie do głowy, że możemy z nich kpić”⁶.

Odmianą cake-walka było *chalk-line walk*, czyli taniec ze szklanką wody na głowie wzdłuż wyrysowanej kredą na podłodze sinusoidalnej linii. Wygrywała para, która wylała najmniej wody. Carrie McDonald jest w tym niepokonana. Nigdy nie uroniła ani kropli, nic więc dziwnego, że chętnych do wspólnego tańca nie brakuje. A dla niej scena, taniec, adrenalina, światła, oklaski... to ją pociąga, mobilizuje i rozbudza jej wyobraźnię. Może w tańcu widzi szansę na inne życie? Próbuje swoich sił jako aktorka w sztuce zatytułowanej *Podróż do Afryki*, w amatorskim Gaiety Theatre. Gra tam, jakżeby inaczej, rolę tubylczyni, a partneruje jej właśnie ten chłopak hiszpańskiego pochodzenia, Eddie Carson.

Niewysoki, żywy, ruchliwy, elegancki. Dobrze się rusza w tańcu, ładnie mówi, ale przede wszystkim świetnie gra na perkusji i na tamburynie (jest ponoć jednym z najlepszych, o ile nie najlepszym, tamburynistą w mieście). Jak ryba w wodzie czuje się w szemranym świątku gorącej dzielnicy wokół dworca kolejowego, na głównych ulicach sąsiadującej z Mill Creek Valley dzielnicy Chestnut Valley – Chestnut Street i Market Street, z ich straganami, burdelami, plebejskimi potańcówkami, jaskiniami hazardu i lumpowatymi barami oferującymi alkohol za pięć centów.

Wszystkie te wątpliwej reputacji przybytki mają jedną wspólną cechę: miejsce do tańca, gdzie rozgrzani alkoholem i podnieceni rytmem mężczyźni łatwiej dają się namówić na wizytę u dziewczyn trudniących się nierządem w pokojach na piętrze. Eddie lubi te miejsca i tę atmosferę, gęstą, przesyconą oparami alkoholu i podejrzanymi interesów. Lubi je, ale chce czegoś więcej. Nieźle śpiewa i tańczy i chciałby robić to zawodowo. W każdy piątkowy wieczór jedna ze szkół tańca Julius Caesar Lucky's Dance Academy organizuje bal. Eddie gra na nim na perkusji, a w ramach zapłaty uczestniczy w kursach tańca. Jest naprawdę zdolny i robi takie postępy, że profesor Lucky proponuje mu pracę instruktora.

Między Carrie i Eddiem szybko zaiskrzyło. Wynajmują mieszkanie w kamienicy na Lucas Avenue, ulicy wciśniętej pomiędzy dymiące fabryki wszelakiego dobra: samochodów, butów, dywanów, trumien, produktów farmaceutycznych i niemieckiego piwa. To najbiedniejsza i najbardziej zaniedbana dzielnica miasta, krańcowo różna od tej pokazywanej w filmie Minnellego. Wąskie, słabo oświetlone latarniami gazowymi ulice, dokuczliwy smród bijący z pobliskich rzeźni i garbarni, domy ze ścianami czarnymi od brudu. Stąd niedaleko zarówno do rzeki, którą jeszcze nie tak dawno przyplływały statki z niewolnikami, jak i do dawnego Pałacu Sprawiedliwości, którego nazwa urąga historii: stoi dokładnie w miejscu, gdzie niewolnikami handlowano.

„Mieszkanie” Carrie i Eddiem to nędzna nora, a i tak mogli pozwolić sobie na nie tylko dzięki pomocy jej matki Elviry. Mimo to Carrie jest szczęśliwa: w dzień pracuje w pralni u ciotki, a wieczorami występuje z Eddiem; tańczy, śpiewa, no i jest po uszy zakochana. Dobrze im idzie. Dobrze, tyle że niezbyt długo. Carrie jest w ciąży.

* * *

Ciotka, harująca jak wół i grająca w rodzinie pierwsze skrzypce, jest bezwzględna: nie szanujesz pracy, wynocha! Carrie przygarnia właścicielka innej pralni, Josephine Cooper. Dziewczyna zostaje u niej aż do rozwiązania. Jeśli to będzie dziewczynka, mówi jej pracodawczyni, to dasz jej moje imię. Dała! Taki zapis figuruje w rejestrze urodzin miasta St. Louis, ale uwagę przykuwa w nim coś innego.

Carrie zostaje przyjęta do szpitala dla białych kobiet w St. Louis 3 maja 1906 roku. Dziwne. Czarne kobiety rodziły w domach, nie w szpitalach, a już na pewno nie w tych dla białych kobiet. Po miesiącu, 3 czerwca o godzinie 11.00 Carrie rodzi córeczkę, Fredę Josephine, szpital opuszcza dwa tygodnie później. Dzięki komu w ogóle przyjęto ją do szpitala dla białych i kto zapłacił za jej w sumie kilkutygodniowy pobyt? Z pewnością nie Eddie, którego tak chętnie biografowie będą przedstawiać jako ojca małej. Eddie temu nie zaprzecza, ale jeśli wierzyć informacjom zawartym w rejestrze i patrząc na kawowo-mleczną karnację Fredy, raczej należy przychylić się do hipotezy, że jej biologiczny ojciec był biały, a do tego dobrze sytuowany lub przynajmniej dobrze ustosunkowany. Kto wie, może był lekarzem w tym szpitalu? Może, jak sugeruje Annie Perrier-Robert, pisarka, wydawczyni, autorka najbardziej kompletnej strony internetowej poświęconej Baker⁷, był Niemcem, co tłumaczyłoby nadanie dziecku starogermańskiego imienia Freda?

O dziwo, gdy Carrie zanoszą małą do ciotki Elvary, ta nie protestuje. Tylko matka jest rozczarowana. Robiła, co mogła, by córka miała lepsze życie od nich, a tu – historia się powtarza.

Ślub? Bez względu na to, czy czuje się ojcem, czy nie, Eddiemu małżeństwo ani w głowie. Carrie też o tym nie myśli, interesuje ją jedno: chce jak najszybciej wrócić do tańca i do występów z Eddiem. Zostawia małą ciotce, a sama rzuca się w wir dotychczasowego życia. Od czasu do czasu odwiedza córeczkę, ale za każdym razem ciotka wylewa na nią, niczym brudne mydliny, kolejną porcję obelg i wyzwisk. Jak ty, leniwa dziewucho, śmiałaś tu przyjść po tym, jak zgrzeszyłaś z jakimś białasem? Elvirze, która usiłuje bronić córki, też się dostaje: splamiła nasz honor, a ty jeszcze stajesz po jej stronie? Carrie się nie przejmuje: chce występować i być ze swoim mężczyzną. Nie może bez tego żyć. Mała chowa się u ciotki albo matki, a kiedy kończy pierwszy rok życia, Carrie zmienia front: zaczyna zabierać ją na występy, a nawet wprowadza na scenę podczas finału. Powoli wszystko jako tako się układa – gdy nagle Carrie dostaje jak obuchem w głowę... Znowu jest w ciąży.

Mały Richard McDonald rodzi się w październiku 1907 roku, gdy Freda ma siedemnaście miesięcy. Tym razem dziecko jest stuprocentowo czarne, czego podobno Tumpie zawsze będzie mu zazdrościć. W rubryce „ojciec”, podobnie jak w przypadku jego starszej siostry, widnieje wpis: nieznany. Jednak niektóre źródła podają, że jest nim niejaki James Alexander Perkins. Dla Eddiego dwójka dzieci to zdecydowanie za wiele. Zostawia więc całą trójkę. Carrie nigdy więcej nie wpuści go do swego domu. Nie pozwoli mu też spotykać się z dziećmi. Wersję tę podtrzymuje Angélique de Labarre de Saint-Exupéry, właścicielka zamku-muzeum Les Milandes, i wielu biografów: ich zdaniem Tumpie nigdy nie poznała domniemanego ojca⁸.

Dla Carrie to koniec marzeń o scenie i o tańcu. Już zawsze będzie tylko czarną praczką, jak babka, matka i ciotka. No i straciła swego mężczyznę. Freda pozostaje pod kuratelą ciotki, ale i tak to na nią Carrie wylewa całą złość za kopniaki od losu, tym bardziej że dziewczynka pod wieloma względami przypomina jej Eddiego. Ma owalną twarz, wystające zęby i zadarty noseć, ma też wyjątkowe poczucie rytmu i wesołe usposobienie. Czy to dlatego Carrie często mówi, że jej nienawidzi i że lepiej byłoby, gdyby umarła? Pewnie tak tylko mówiła, przecież nie mogła tak myśleć, powie po latach Josephine. Richard był już drugi z kolei. To Freda zniszczyła młodość matki, miłość i nadzieję na lepszy los.

Sytuację niewiele zmienia małżeństwo Carrie z Arthurem Martinem, postawnym, wysokim dwudziestotrzylatkiem o skórze znacznie ciemniejszej niż Eddie. Mała Freda lubi ojczyń, ale w przeciwieństwie do brata nigdy nie uzna go za swego ojca, choć mówi do niego „tato”. Ogólnie jest w porządku, tyle że trochę

zbyt impulsywny – kiedy nie śpi albo nie szuka pracy, chętnie bije Carrie, bo zazwyczaj nie pracuje, jedynie wystaje w kolejkach dla bezrobotnych, czekając na jakieś zatrudnienie – bezskutecznie, jako że nie ma żadnych kwalifikacji. Kiedyś wpada mu w ręce robota w odlewni. Dojeżdża do niej tramwajem, ponad piętnaście kilometrów od St. Louis. Jeśli nie zdąży na ostatni kurs, musi wracać piechotą. Na porządne buty go nie stać, owija nogi starymi gazetami.

W kolejnych latach sytuacja materialna Carrie i jej dzieci nie tylko się nie polepsza, ale wręcz pogarsza, bo na świat przychodzą po kolei dwie dziewczynki, Margaret i Willie Mae, obie bardzo ciemne. Freda ma najjaśniejszą skórę w całej rodzinie; odstaje, jest inna, gorsza. O Margaret jest potwornie zazdrosna, za to mała Willie Mae przypada jej do serca. Może dlatego, że mają podobne łagodne i wesołe usposobienie. Starsza siostra opiekuje się malutką, zwłaszcza wtedy, gdy dotkliwie pogryziona przez psa sąsiadów Willie Mae straci oko (w innej wersji przyczyną tragedii była nieudana próba wyjęcia drzazgi z oka).

Josephine będzie pamiętała z dzieciństwa przeprowadzkę do innego mieszkania, niedaleko dworca Union Station, na Gratiot Street 1526. Ale i tym razem – mieszkanie to za dużo powiedziane. Kolejna rudera z dachem nad głową, niewiele różniąca się od poprzedniej: tak samo brudna, zapluskwiona i zarobaczona, w nocy wszystkimi dziurami wylażą szczury. Na dodatek jest zimno i wilgotno. Wody bieżącej nie ma; trzeba po nią iść do wspólnego kranu, pranie suszy się na wewnętrznym dziedzińcu, pełnym cuchnących odpadków, a za całe ogrzewanie służy metalowy baniak, w którym rozpala się ogień. Nie ma gazu ani elektryczności, wieczorem wszyscy siedzą przy naftowych lampach. Do ubikacji, w której hula wiatr, trzeba iść w głąb podwórka. Mycie odbywa się w wanience do prania: kąpią się jedno po drugim, w tej samej wodzie, sceny jak z *Germinala* Emila Zoli. Oczywiście Freda zawsze myje się ostatnia z całej rodziny. Śmierdzi nie tylko całe mieszkanie, ale i nogi Arthura, który lubi kłaść je na stole. Jedynym plusem nowej rudery są dwie osobne izby; dzieciaki już nie muszą spać w nogach matki i ojczyma. Jednak i tak smród bijący od jego stóp sprawia, że gdyby nie dotkliwy ziąb, Freda uciekałaby spać na zewnątrz. Chociaż w środku też ciągle jest jej zimno, bo St. Louis to zimne miasto.

Na jedno z najczęściej zadawanych pytań, dlaczego zaczęła tańczyć, Baker odpowiada niezmiennie: „Tańczyłam, by się rozgrzać”. Czasem owinięta w gazety przenosi się ze spaniem na podłogę, na niej przynajmniej nie grasują pluskwy. Dwa razy do roku Freda z bratem wynoszą materace na zewnątrz, spryskują je benzyną i podpalają, by zniszczyć jajeczka. Ale łóżko też ma swoje zalety – w nocy chroni przed szczurami, szukającymi odpadków. Richard ma uciechę, strzela do nich z procy.

Publikowane we wszystkich
źródłach rzekome zdjęcie
kilkuletniej Fredy Josie
McDonald. W rzeczywistości
to prawdopodobnie fotografia
przyrodniej siostry Baker,
Margaret, mającej o wiele
ciemniejszą karnację



Któregoś dnia Arthur oszukany przez szefa na pięć centów (to była kwota!) dzieli go pięścią po głowie. Trafi za kratki. Gdy wychodzi na wolność, oczywiście pracy już nie ma. Wyładowuje się na Carrie: pewnego dnia niemal ją dusi, a chwilę potem popada w dziwne odrętwienie. Ale Carrie także bywa agresywna, głównie wobec dzieci. Gdy dowiaduje się, że Richard podobno ukradł rower, wiąże go i bije tak mocno, że córki błagają ją, by przestała.

Freda, jako najstarsza, ma najwięcej pracy: myje podłogi, zmywa naczynia i zajmuje się rodzeństwem. Właśnie po to Carrie zabrała ją od ciotki. Sama Carrie nie rezygnuje z używania życia. Co jakiś czas rzuca pracę, urywa się z tym czy innym facetem i znika na cały miesiąc. Wtedy – o dziwo – dziećmi i domem zajmuje się ojczym, coraz częściej niezdolny przeciwstawić się w czymkolwiek wiarołomnej żonie.

Martinowie często się przeprowadzają. Gdy brakuje pieniędzy na czynsz, zmieniają adres albo po prostu lądują na bruku. Freda często wymyka się z domu i nocuje u ciotecznej babci albo u babci Elviry.

Babcia. Jedyna osoba, u której Freda znajduje ciepło i miłość. Dumna ze swego półindiańskiego pochodzenia Elvira gardzi przyrodnim rodzeństwem Fredy. Margaret i Willie Mae są dla niej za czarne, za to najstarszą wnuczkę lubi najbardziej.

Elvira ma wielkie smutne oczy i karmi małą plackami z kukurydzy i historiami. Zna mnóstwo historii, wesołych i smutnych. Uwielbia je opowiadać, a mała Freda uwielbia ich słuchać. Trzy małe świnki, Czerwony Kapturek i Królowna Śnieżka zamieszkają w małej główce na dobre; babcia nie szczędzi jej też opowieści, których dzieci z innych części świata znać nie mogą: o swym dzieciństwie na plantacji bawełny, o swych dalekich przodkach, zabranych siłą z rodzinnej wioski w Afryce i przywiezionych w kajdanach do Ameryki na ciężką służbę u białych panów. Historie o tym, że przyjdzie dzień, gdy ich krew, pot i trud zostaną wynagrodzone, a czarny lud odzyska prawdziwą wolność. Wśród opowiadanych historii nie brakuje opowieści z Biblii, której przesłanie daje czarnym nadzieję na wyzwolenie z nędzy, głodu i poniżenia.

Ale najbardziej małej Fredzie zapada w serce inna opowieść: o Kopciuszku. Czyż nie jest nią ona sama? Tą dziewczynką niekochaną, pomiataną, odpychaną i wiecznie głodną? I nagle czary-mary, hokus-pokus: bal w pałacu, księżę, pantofelek i znany na całym świecie happy end. O tak, ta bajka podobała się jej najbardziej. Bogate stroje, błyszczące kolie, wystawne bale i góry wykwintnego jedzenia! Kiedyś to będzie jej życie. Na pewno. Tyle że na razie z Kopciuszkiem łączą ją jedynie brud, głód i lekceważenie. I jeszcze jedno – czy Kopciuszek była czarna? A ten księżę, który ją poślubi i zabierze do pałacu – to jaki miałby być? Biały?

Freda się stara. Jest tylko dzieckiem, które rozpaczliwie potrzebuje matczynego uczucia, bliskości i zrozumienia, robi więc wszystko, by matkę zadowolić, ale ze strony Carrie spotykają ją niezmiennie odrzucenie i pogarda. Żyje na ulicy. Ma dopiero sześć lat, ale już zna wszystkie sztuczki i tajemnice ulicznej egzystencji. Razem z Richardem buszują wokół pobliskiego dworca Union Station. Dokazują, oglądają niekończący się korowód pociągów. Stuk-stuk, stuk-stuk. Przyjeżdżają, odjeżdżają. Ku innemu życiu, w nieznane.

Trzy kilometry od mieszkania Martinów jest Soulard Market, wielki targ z owocami i warzywami. Najpierw Freda chodzi tam z ojczymem, potem sama. Zgrabnie lawiruje między wózkami z kapustą, ziemniakami i brokułami. Zbiera nadgniłe owoce, sflaczałe warzywa. Wszyscy ją znają. Jest miła, grzeczna, uroczą, wesołą. Ten i ów wciśnie jej do ręki pomarańczę, jabłko czy marchewkę. Freda zarabia: kradnie na sprzedaż węgiel z wagonów stojących na torach przed kolejową stacją. Zwinna i odważna, wspina się na wagon i zrzuca kawałki węgla czekającemu na

dole rodzeństwu. Policja wie o tym, ale macha ręką, nie chce jej się uganiać za dziećmi; ukarać takiego nie ma jak, a zresztą, ile ta mała może unieść?

Dobrym miejscem, żeby zarobić parę groszy czy znaleźć coś do jedzenia, są bogate białe dzielnice po drugiej stronie mostu. Freda szpera z rodzeństwem w śmietnikach (po latach Richard stanowczo temu zaprzeczy). Szczególnie cenią sobie główki kurczaków, można z nich ugotować coś, co przypomina rosół. Pukają do drzwi białych: może trzeba umyć podłogę albo narąbać drewno na rozpałkę? Wesoła, miła dziewczynka wzbudza sympatię. Ma wyjątkowy dar nawiązywania kontaktu z ludźmi.

Przed Wigilią wyprasza u białych niepotrzebne przedmioty, zabawki, materiały. Zrobi z nich gwiazdkowe prezenty dla rodzeństwa. Święty Mikołaj to ja, mówi poważnie do pewnej kobiety, która chce jej opowiedzieć o Świętym Mikołaju, na którego czekają wszystkie dzieci na świecie. Bywają dni, że zarabia aż 50 centów, z czego 45 oddaje matce. Sytuacja Carrie nieco się poprawia: zatrudnia się na stałe jako pracznia u siostry męża, ale na niego samego liczyć już nie może. Od dłuższego czasu Arthur nie szuka pracy: popadł w dziwne otępienie, całe dni spędza w łóżku.

* * *

Lincoln School. Dobra nazwa dla niewielkiej szkółki dla biedaków i czarnych, nieopodal Gratiot Street. Lincoln chciał dla czarnych dobrze, a wyszło, jak wyszło. Mały, niepozorny budynek z cegły, do którego pięcioletnia Freda chodzi na skróty po metalowej kładce nad torami. Nienawidzi go. Nienawidzi szkoły, nauczycieli i koleżanek. Nawykła do całkowitej swobody, a nauczyciele ją ograniczają, rób to, rób tamto, mówią. Dusi się. Klóci się i bije z innymi dziećmi, nawet z nauczycielkami. Dlaczego zabraniają jej stroić miny? Przecież twarz nie jest od tego, by spać, napisze później w swych pamiętnikach. Ale do szkoły chodzić musi, to obowiązek.

Jej szkoła jest taka jak cała dzielnica – uboga, a Freda należy do najuboższych z ubogich. Przez cały rok chodzi w tej samej niebiesko-białej sukience, najczęściej boso. A nawet gdy chodzi w butach, to dziurawych, więc dzieci się z niej śmieją i wytykają ją palcami. Kiedyś miała jedną parę. Matka od kogoś dostała, ale dla niej były za małe, więc oddała je córce. Arthur obciął jej obcasy, chodziła w nich jak kacznica, pokracznie, na nierównych, przekrzywionych podeszwach. To nic, niech się śmieją; Freda odpłaca im się pięknym za nadobne: pokazuje język, przedrzeźnia, wygłupia się, stroi miny, zezuje. Żartuje z siebie i z innych.

Czy jest dobrą uczennicą? Raczej nie. W szkole podoba jej się tylko jedno: w podręcznikach do historii są obrazki, także królów, królowych i księżniczek,

podobnych do tej, jaką stała się Kopciuszek. I jaką ona chciałaby być. Czasem, jak twierdzą niektórzy biografowie, za ogrodzeniem szkoły Freda dostrzega Eddiego. Carrie nie chce mieć z nim nic wspólnego, ale jak widać, on chce widywać swoje dzieci, zwłaszcza Tumpie. Dziewczynka nie bardzo go pamięta i trochę się go boi, ale gdy przez ogrodzenie mężczyzna wsuwa jej do ręki słodycze, nie odmawia.

Freda nie ma w szkole koleżanek czy kolegów, z wyjątkiem rodzeństwa Joyce i Roberta McDuffych. Łączy ją z nimi coś szczególnego. Mieszkają tuż obok. Joyce to koleżanka od serca, choć często się za Fredę wstydzi. Na próżno zwraca jej uwagę: myj się, Freda. Ale ta wciąż jest brudna, nawet gdy próbuje się umyć, to i tak jedna połowa twarzy zostaje niedomyta. Bunt? Reakcja na poniżanie? Na jedno wychodzi – i tak jest pośmiewiskiem. Ale w teatrze Roberta nikt się z niej nie śmieje. Więcej, Robert nawet płaci jej za to, by inne dzieci mogły na nią patrzeć, wprawdzie tylko grosz albo agrafkę, ale jednak. Bo Robert założył teatr! Starszy o kilka lat brat Joyce ma handlowy zmysł, lecz przede wszystkim uwielbia sztuki sceniczne. Podpatruje zawodowych artystów w pobliskiej, niedawno otwartej salce Booker T. Washington Theatre, gdzie czarni są i artyści, i widzowie.

W piwnicy swojego domu Robert ustawia widownię ze skrzynek po pomarańczach, z kawałków materiałów zszywa kurtynę, skleca scenę i oświetla ją starymi świecami. Jego teatr nazywa się Ma' Duffy's Pin and Penny Poppy Shows. W jego teatralnej trupie są: on sam, Joyce i Tumpie. Tej ostatniej bardzo się to podoba – i natychmiast tworzy własny teatr w swojej piwnicy: też z widownią i ogarkami. Sama wymyśla powolne, spektakularne schodzenie na „scenę” po trzech stopniach prowadzących do piwnicy. Występuje w za dużych starych pantoflach matki i jej starej, zbyt obszernej oczywiście sukience. Kurtynę i dekoracje zszywa jak Robert z kawałków znalezionych materiałów. Widownia, kilkanaścioro dzieciaków z sąsiedztwa, siedzi na starych skrzynkach. Są i bilety: wstęp kosztuje jedną agrafkę. Kurtyna w górę! Dzieciaki śmieją się i klaszczą.

* * *

Prędzej czy później to musiało się tak skończyć. Freda wszędzie chodzi boso. Chwila nieuwagi i zardzewiały gwóźdź wbija się głęboko w jej stopę. Bez wizyty w szpitalu się nie obejdzie. Do Carrie dociera: coś trzeba z tym dzieciakiem zrobić. Freda jest najstarsza, powinna już zacząć na poważnie zarabiać i więcej dokładać się do domowych wydatków. Te parę groszy, które przynosi codziennie, to za mało. A w ogóle najlepiej by było, gdyby sobie z domu poszła: jedna gęba do wykarmienia mniej.

Co może robić ośmioletnia czarna dziewczynka? Może iść na służbę, czyli sprzątać, bawić dzieci, szorować garnki, prać, myć podłogi, rąbać i nosić drewno, palić w piecu i wykonywać najprostsze prace w kuchni. Sporo. Wspomnienia z czasu biedy i harówki zapadną jej w pamięć na zawsze. Później niektórzy nazwą to jej kompleksem. Trzeba było pożyć trochę w tamtych czasach na amerykańskim Południu, by zrozumieć, a raczej poczuć na własnej skórze, co to znaczy mieć „murzyński kompleks”.

Tumpie jest przerażona, ale matka pozostaje nieugięta, a ojczym nie protestuje. „To twoja córka”, mówi do żony.

* * *

Pani Keiser niczym się nie różni od dziesiątek innych samotnych lub otoczonych rodziną, statecznych i w miarę zasobnych białych kobiet w St. Louis. Jest wdową, więc potrzebuje pomocy we wszystkim. Tumpie wstaje o 5.00. Trzeba posprzątać, przynieść drewna do pieca, załatwić sprawunki, umyć schody, wynieść i opróżnić nocnik, wyprowadzić pieska, pozmywać, raz w tygodniu zrobić pranie i umyć podłogi. Dopiero potem może iść do szkoły, bo szkoła jest obowiązkowa, co się bardzo, ale to bardzo pani Keiser nie podoba. Z konieczności – żeby Freda nie przyniosła jej w szkole wstydu, kupuje dziewczynce sukienkę, innym razem buty.

Mała służąca sypia w ciemnej, zimnej piwniczce razem z psem. To cała jej radość i pociecha. Nazwała go Trzy Łapy, bo czwartą przetrzącił mu samochód. Jego zapchlona sierść nie tylko ogrzewa jej wychudzone ciało, ale i nieszczśliwe serce. Freda jest bita i karana za najmniejsze przewinienie. A niech tylko spróbuje zaspać! Wtedy pani Keiser wywleka ją z łóżka i bije bez litości. Freda nie dojada, a i tak połowę z tego, co dostaje do jedzenia, oddaje psu. Jest wymizerowana, wychudzona, zastraszona.

Ciało dziewięcioletniego dziecka jakoś to wszystko znosi, ale okaleczenia w psychice nigdy do końca się nie zagoją. Wszystkie swoje uczucia Tumpie przelewa na zwierzęta – to jej najlepsi i najwierniejsi przyjaciele. Kurczę, które pani Keiser przynosi do domu do wykarmienia, Freda nazwie Jacky. W innych wersjach Jacky jest białym kogutem i nazywa się Tiny. Freda kocha go, karmi i dogląda, aż wreszcie Jacky-Tiny wyrasta na piękny, dorodny okaz. Ale rano robi zbyt dużo hałasu, a może już jest potrzebny na obiad? Pani Keiser każe dziecku go zabić. Przecież to proste: kilka ciosów nożyczkami w gardło. Ptak piszczy, krew tryska na nędzne ubranie dziewczynki i na podłogę.

Piekło Fredy w domu wdowy Keiser kończy się w dniu, w którym rozjuszona pani domu chwyci jej rękę i wcisnie do garnka z wrzątkiem. To kara za przewinienie.

Według jednych źródeł podczas zmywania talerz wyslizgnął się dziewczynce z rąk i rozprysnął na podłodze na drobne kawałeczki. Według Eana Wooda, uznawanego za autora najlepszej i najlepiej udokumentowanej biografii Josephine, kara była za to, że garnek, który dziewczynka postawiła na ogniu, był zbyt pełny. Potworny ból. Mała z krzykiem ucieka do sąsiadki, rzuca się jej w ramiona i mdleje z bólu. Ocknie się w szpitalu. Skóra schodzi z ręki całymi płatami. Przy łóżku są już Carrie, lekarz i pielęgniarka. Podobno mała pacjentka denuncjuje panią Keiser i kobieta zostaje ukarana. Podobno, ale to mało prawdopodobne.

W swych wspomnieniach Josephine nie pisze o tym ani słowa. Kogo wtedy interesował los małej czarnoskórej służącej? Do domu wdowy już nie wróci, ale to nie koniec jej pracy u białych. Trafia do domu państwa Masonów. Już nie sypia w piwnicy, dostaje ubrania i buty, a po skończeniu pracy może się bawić. Pani jest dobra i miła. Gorzej z panem. Też jest miły, aż nadto, bo Tumpie jest już sporą i całkiem gładką dziewczynką. Według jednych źródeł pani domu odsyła ją w obawie, by nie doszło do czegoś złego. Inne twierdzą, że dochodzi do seksualnego wykorzystania. Jeszcze inną wersję podaje sama Josephine: pani Mason nakrywa męża, gdy nocą wślizguje się do łóżka dziewczynki.

* * *

Jazz, jazz, jazz! Nadciągnął z Południa z początkiem xx wieku. Rósł, dojrzewał, rozwijał się, jak Freda. Zmieniał ludzi, taniec i śpiew. Upajał, kusił, otumaniał umysły i ciała. „W Nowym Orleanie rodziła się nowa, seksowna, nieprzyzwoita muzyka, później nazwana jazzem. Z czarnych tancbud na Południu co tydzień, wydawałoby się, wychodziły nowe kroki”⁹. Dla czarnoskórych taniec, muzyka, gospelsy, spiritualsy czy jazz były nie tyle nadzieją, ile wyzwoleniem, ucieczką. To była ich muzyka i nikt, i nic, żadne nakazy i zakazy, żadne prawo nie mogły im jej odebrać.

Freda także tańczy, robi to po swojemu, świadomie lub nie, choć zawsze będzie powtarzała, że tańczyła głównie po to, by się rozgrzać. Nie ma pończoch i w zimie ciągle jest jej zimno: w domu, u państwa, w szkole, na ulicy. Podpatruje ulicznych artystów, bez przerwy podryguje. Potem idzie do domu i chwali się matce podpatrzonymi nowymi tanecznymi krokami. Czy Carrie to widzi? Nawet jeśli, to co z tego? Jej córka jest tylko czarną dziewczuchą, jedną z tysięcy jej podobnych; dla takich jak ona przyzwoitych sposobów ucieczki od nędzy jest niewiele. Najprostszy stanowi małżeństwo. A taniec? To nawet nie przechodzi Carrie przez myśl.

* * *

Tymczasem za oceanem, w artystycznym świecie Paryża, mieście, które z dumą mieni się kulturalną stolicą świata, o którym Freda nie ma pojęcia, wybucha skandal. 29 maja 2019 roku w Théâtre du Châtelet publiczność ogląda po raz pierwszy balet *Popołudnie fauna* z muzyką Claude'a Debussy'ego, inspirowaną poezją najwybitniejszego przedstawiciela francuskiego symbolizmu Stéphane'a Mallarmégo.

Powiedzieć, że choreografia Niżyńskiego jest przesyciona erotyzmem, to nic nie powiedzieć: ona erotyzmem dyszy, a jej twórca swą odważną, pozbawioną wszelkich zahamowań interpretacją prowokuje publiczność, jawiąc się być może jako pierwszy artysta, który w sposób tak bezkompromisowy łączy taniec z erotyką. Chociaż znacznie wcześniej, bo już w 1903 roku, w Berlinie, mieście, w którym ponoć dozwolone było wszystko, w Operze Krolla pewna amerykańska tancerka występowała nie tylko boso: w pewnej chwili zrzuciła swą przezroczystą suknię-tunikę i pokazała się publiczności zupełnie naga. Nazywała się Isadora Duncan.

W scenicznej aurze Wacława i Isadory, dwojga „nomadów tańca”, jak ich nazywa Philippe Noisette w swojej książce *Le corps et la danse* [Ciało i taniec], było wszystko: obnażenie duszy i ciała, trans, skrajne emocje, pożądanie na granicy wybuchu. Skandal, który wywołała, przerodził się w sukces, a taniec Duncan będzie zwiastunem tego, co nowe, świeże, inspirujące, tak jak w Salonie Odrzuconych objawiały się światu jaskółki przełomowego, rewolucyjnego malarstwa. A wszystkiemu, co w sztuce nowatorskie i odkrywcze, będzie sprzyjał nowy, XX wiek.

* * *

Wędrowny kramarz, częsty gość wśród białej i czarnej biedoty St. Louis rozstawił swój przenośny kram niedaleko domu Fredy. Chyba jeszcze nie sprzedał wszystkiego, co miał, czyli medykamentów różnego sortu i proveniencji, bo ustawił na ulicy niewielki podest dla przygodnych grajków – jako trzeba klientelę przyciągnąć. A że już zrobiło się ciemno, zapalił łuczywa. Freda jest oczarowana. Muzyką, atmosferą i eleganckim – jej zdaniem – strojem kramarza. Ale najlepsze dopiero przed nią: konkurs tańca. Dla handlarza to reklama, a dla Fredy? Do tej pory taniec, ruch, rytm były dla niej codziennością, potrzeba ciągłego poruszania się była równie silna jak łaknienie. W zimnym, wilgotnym St. Louis dziewczynka ciągle marznie, więc – tańczy.

Predyspozycje odziedziczyła po rodzicach: po Carrie lekkość, naturalność, gibkość, a po ojcu (?) znakomite poczucie rytmu, pozytywną energię i osobowość,

która nie przyjmuje do wiadomości, nie wchłania negatywnych stron egzystencji. „Uśmiechać się, uśmiechać się do życia, do miłości, mimo trosk i zgryzot, zawsze się uśmiechać”¹⁰, zaśpiewa kiedyś, dodając: „Ja nie tańczę, ja jestem tańcem, bo urodziłam się w zimnym mieście, bo nie miałam pończoch i chciałam się rozgrzać, bo od zawsze chciałam tańczyć w teatrze”¹¹.

Od zawsze może nie, ale może właśnie od tej chwili, gdy wskakuje na podest ustawiony o rzut kamieniem od jej domu. W jej ulicznym tańcu jest coś, co przyciąga uwagę przechodniów. Naturalność, emocje, żywiołowość – no i te zabawne miny i grymasy. Publika nagradza ją burzą oklasków: nikt nie ma wątpliwości, kto wygrał konkurs. Nagrodą jest jeden dolar. Cały dolar za kilka minut tańca? To może być lepsze od szorowania cudzych garów, pilnowania dzieci i mycia podłóg, przemyka jej przez głowę. I nikt nie wypchałby jej ręki do wrzątku. Jak na dziesięcioletnią czarną dziewczynkę to odważna myśl.

* * *

Czarnoskóra dziewczynka drżącymi rękoma zamyka drzwi na skobel. W ostatniej chwili. Z drugiej strony z całej siły napiera na nie rośli mężczyzna i dziewczynka wie, że za chwilę skobel puści. Przytomnie otwiera drewnianą klapę w podłodze i ześlizguje się do piwnicy z oknem wychodzącym wprost na ulicę. Na szczęście nie jest oszklone; to tylko wielki, otwarty prostokąt, więc w ułamku sekundy dziewczynka jest na zewnątrz. Łyka kurz, wzniecany przez biegnących w popłochu czarnych i pędzących za nimi białych. Dusi się dymem, swędem palących się drewnianych domostw. Widzi, jak pod razami pałek i kijów padają mężczyźni, kobiety, starsi i młodszy. Ucieka co sił w nogach. Wyrzywa się szarpiącemu ją za ramię mężczyźnie, wbiega w panice na schody jakiegoś pustego domu, przysiadła przerażona pod ścianą i zamiera w bezruchu. Słyszy przeraźliwe krzyki ludzi i wrzaski prześladowców. Jej wielkie czarne oczy z przerażeniem wpatrują się w ścianę. Dopadną ją?

To jedna z pierwszych scen z obsypanego nagrodami i nominacjami do Złotych Globów i Emmy filmu *Historia Josephine Baker* w reżyserii Briana Gibsona z 1991 roku, ze znakomitą muzyką Georges’a Delerue’a. Nie ma dowodu na to, że jest autentyczna i że jedenastoletnia Freda Josephine McDonald naprawdę widziała to, co wtedy wydarzyło się w St. Louis. Czy rzeczywiście czuła swąd palonych ciał, widziała uciekające kobiety, dzieci i mężczyzn i krew, słyszała krzyki ludzi trąconych i katowanych na śmierć? Tak to przedstawia film, liczne książki, a i sama Josephine w swej biografii. Tyle że dość często zmieniała wersje tych opowieści, trudno więc wyrokować o ich prawdziwości. Jednak, nawet jeśli nie była naocznym

świadkiem tamtych wydarzeń – jeśli, na szczęście, patrzyła na nie z drugiej strony mostu – wiedziała o nich aż nadto.

Atmosfera napięcia narastała od miesięcy. W maju wybuchły zamieszki w St. Louis East, lecz wydarzenia, których świadkiem była Freda, zaczęły się w niedzielną noc 1 lipca 1917 roku¹².

* * *

Wszystko zaczęło się od biedy, która przecież nie dotyczyła wyłącznie Afroamerykanów, białych także. Paradoksalnie, szybki rozwój miasta St. Louis, będący przyczyną masowej migracji czarnej społeczności z Południa, przyczynił się do pogorszenia sytuacji bytowej tysięcy niewykwalifikowanych robotników – i białych, i czarnych – i stał się przyczyną ogólnego niezadowolenia. Światowa wystawa w 1904 roku tylko wzmocniła ten trend, bo wraz z jej zamknięciem praca się skończyła, a ludzie, wcześniej zatrudnieni czasowo, zasilili grono bezrobotnych. W St. Louis czarni zawsze byli gorzej opłacani, więc chętniej zatrudniani, co wywoływało kolejne konflikty: jak to może być, żeby czarnuch zabierał pracę białemu?

W 1916 roku aktywizują się członkowie Ku Klux Klanu, tajnej organizacji, utworzonej w południowych stanach po zakończeniu wojny secesyjnej, popierającej supremację rasy białej i przeciwstawiającej się jakiemukolwiek mieszanii się ras (przekonanie o istnieniu ras było wówczas powszechne), czy to w życiu publicznym, czy prywatnym. Na Wschodnim i Środkowym Wybrzeżu oraz na Południu dochodzi do wielu ataków na kościoły, szkoły, sklepiki należące do czarnych. W St. Louis nie jest inaczej. Białe i czarne społeczności poszczególnych dzielnic nie mieszały się ze sobą i są wobec siebie wrogo nastawione. Podział na biednych i bogatych istnieje także wśród samych Afroamerykanów. Szczególnie odczuwalna jest różnica między centrum St. Louis a przemysłową dzielnicą St. Louis East, położoną już po drugiej stronie Missisipi, w stanie Illinois. Dzielący je most jest nie tylko granicą stanów, ale i granicą wolności wyboru. Każdy czarny, który przechodzi na drugą stronę Missisipi, ma szansę poczuć się prawdziwie wolnym człowiekiem, znaleźć pracę i utrzymać rodzinę. Ale wtedy ten wolny czarny człowiek zabiera pracę ludziom tak samo biednym jak on i tak samo walczącym o przetrwanie, tyle że białym. Konflikt narastał, bo zdaniem tych ostatnich nie dość, że czarni podbijają im miejsca pracy, to jeszcze bezczelnie domagają się swoich praw. Praw? Jakie prawa mogą mieć czarnuchy? Wreszcie balon pęka: biali postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce.

Zaczęło się od samochodowego wypadu do czarnych dzielnic i strzelania w okna domów. Gdy za drugim razem ludzie widzą zbliżający się samochód z białymi



Nastoletnia
Freda
McDonald

mężczyznami w środku, pierwsi zaczynają strzelać. I zabijają. Jak się okazuje, ofiarami są dwaj policjanci – po cywilnemu. Tego właśnie trzeba było białym: pretekstu. Od roku powtarzali, że obawiają się czarnych, więc są przygotowani. Ruszają błyskawicznie, zachęceni przez miejscowych polityków i wspierani przez policję. W ruch idą pałki, kije, benzyna i zapalniczki. Podpalają domy, zatrzymują autobusy, siłą wyciągają ludzi ze sklepów, zabijają idących ulicą. Wyłapują tych, którym udaje się uciec z płonących domów, i wpychają ich z powrotem w ogień, nie oszczędzając przy tym ani kobiet, ani dzieci. Fredy – wbrew temu, co przedstawia film Zemeckisa – w tej części miasta nie ma; prawdopodobnie stoi po drugiej stronie rzeki, patrzy na łunę pożarów i kłęby czarnego dymu. Słyszy tupot uciekających po moście, rozdzierający krzyk bitych i mordowanych. Czy widzi ciężarną kobietę z rozorany bruchem? I mężczyznę z odstrzeloną twarzą? Nawet jeśli nie wszystko dzieje się na jej oczach, a szczegóły dotrą do niej jedynie w relacjach innych, tej lekcji ludzkiego bestialstwa nie zapomni nigdy.

O dokładnej liczbie zabitych w lipcowym pogromie w St. Louis statystyki milczą. Brak danych. Zaginionych liczą w tysiącach. Pewne jest natomiast, że w całych

Stanach Zjednoczonych pomiędzy rokiem 1882 a 1968 zlinczowano 4743 osób – z czego 3446 to byli Afroamerykanie. A w stanie Missouri? „Missisipi i reszta świata – to dwa zupełnie odmienne miejsca”¹³, mówi pastor, jeden z bohaterów dziejącej się w latach sześćdziesiątych książki Kathryn Stockett *Służące*. Ma rację. I o ile dzisiaj w St. Louis można z dumą wskazać miejsca, w których występowali Chuck Berry, Miles Davis czy Freda Josephine McDonald, bez trudu można pokazywać także te, w których palono żywcem i linczowano ludzi.

* * *

Dźwięk syreny manufaktury jest tak donośny, że słysząc go w całej dzielnicy. Nie trzeba patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że mija właśnie godzina 22.00. Godzina, o której wszystkie dzieci Carrie obowiązkowo powinny być już w domu. Tamtego wieczoru Freda spóźnia się o całą godzinę. Matka chwyta ją, przytrzymuje, ściąga majtki i łączy skórzanym paskiem. Wreszcie puszcza dziewczynkę, ta z płaczem wypada na ulicę. Biegnie. Płacze i biegnie. Do domu nie wróci za żadne skarby, ale dokąd ma pójść? Łzy płyną. Nikt nie zwraca na nią uwagi, wreszcie zatrzymuje ją jakiś mężczyzna. Znają się, to pan Dad, tuż obok ma sklep z lodami. Freda wciąż płacze. Mężczyzna zastanawia się. Jeśli dziewczynka zgodzi się pracować w jego sklepie, może u niego zamieszkać.

Według sąsiadów pan Dad lubi małe dziewczynki. Aż za bardzo. Zaczynają się szeptki. To niemoralne, by trzynastoletnia dziewczynka mieszkała z pięćdziesięcioletnim mężczyzną, z którym nie jest spokrewniona. To wstyd! Sąsiedzi donoszą Carrie, gdzie ukryła się mała uciekinierka. Carrie składa wizytę w sklepiku pana Dada i kategorycznie żąda powrotu Fredy. Nie z troski o córkę, a z pragmatyzmu: ubył jej jedna para rąk do pracy. Ale ona wracać do domu nie zamierza. Przenosi się do babki Elviry. I prawie natychmiast znajduje sobie pracę w barze Old Chauffeur's Club na Pine Street, w dzielnicy Chestnut Valley. Przy babci odzyskuje wewnętrzny spokój. Zarabia niewiele, ale dzięki ciotce w domu babki głodu nie ma: Elvara pobiera niewielką rentę wojskową po mężu, który zginął w wojnie amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 roku¹⁴. Poza tym dostaje trochę pieniędzy od ojca. Tak, od ojca. Eddiemu zależy na córce. Gra na perkusji w orkiestrze Pythian Society, całkiem blisko, na tej samej Pine Street. Szybko się dowiaduje o córce, więc od czasu do czasu zagląda do klubu. Freda nie ma oporów, by wyciągać od niego pieniądze. Ostatecznie jest rodzonym (?) dzieckiem, nie to co trójka jego pasierbów – bo ojciec się ożenił. A jako że ma do niej słabość, często sięga do portfela – chociaż kiedy prosi go o zegarek, odmawia; to zbyt duży wydatek, a on ma rodzinę do utrzymania.

Dlaczego Freda wybrała właśnie ten bar? Czy dlatego, że akurat było wolne miejsce, czy dlatego, że tu zawsze ktoś gra, śpiewa i przede wszystkim tańczy? Któręś dnia muzycy proponują jej, by dołączyła do nich na scenie. Jest zachwycona! Prawdziwa scena, nie ulica czy jakiś tam podest. Świadomość, że ludzie na nią patrzą, działa na nią jak potężny zastrzyk adrenaliny.

Życie nabrało kolorów. Na Pine Street schodzą się najróżniejsi tancerze i muzycy i robią *jam session*. Freda słucha, podpatruje, chłonie. Naśladuje ruchy, poznaje różne gatunki tańca. A oni lubią tę żywą, wesołą, pracowitą dziewczynkę, która robi śmieszne miny i przemyka między nimi jak iskierka. Do klubu przychodzą też kobiety. Słuchają muzyki, popijają drinki. Są dobrze ubrane, obwieszone biżuterią. Freda patrzy, obserwuje, jak się noszą. Zazdrości im. Ale najbardziej zazdrości tancerkom. Nie tym z klubu, tylko tym prawdziwym, które ogląda co niedziela za odłożone 50 centów w Booker T. Washington Theatre. Tym, które są oklaskiwane i podziwiane. I piękne: mają cerę w kolorze kawy z mlekiem i proste włosy. Nie to co Freda. Jej włosy są poskręcane, nieposłuszne. Na próżno dziewczynka rozciąga je, moczy w wodzie z cukrem i przykleja do czoła.

Booker T. Washington Theatre to jej szkoła tańca, choć głównie uczy się go na ulicy. I nie jest jedyna. Jak wiele tancerek z lat trzydziestych jest samoukiem, uczy się, podpatrując innych, gdzie się da. Fred Aster czy Gene Kelly także nie pobierali nauk na kursach, naśladowali i doskonalili to, co zobaczyli u innych, czarnych i białych. Już pod koniec XIX wieku ta obserwacja, naśladownictwo oraz wzajemne wpływy obu nacji zaowocowały powstaniem nowych gatunków tańca, opartych najpierw na rytmach ragtime'u, potem jazzu czy swingu. Furore robi stepowanie. Czarni przyswajają sobie tańce przywiezione przez emigrantów ze Szkocji, Anglii czy Irlandii, nadając im bardziej synkopowany rytm. Sami wnoszą dziedzictwo własnych, wykształconych przez lata gatunków: taniec obrazowy, naśladowający ruchy zwierząt, jak choćby *grizzly bear*, tańczony na początku XX wieku na promach Staten Island w Nowym Jorku, *black-bottom* – taniec towarzyski w tempie wolnego fokstrota, związany z jazzem *shimmy*, *snakehips*, spopularyzowany w latach dwudziestych w Harlemie przez Earla Tuckera, czy fokstrot. Późniejszy słynny fragment tańca Baker z wypiętymi jednocześnie biustem i pośladkami, nazwany „marszem gorylim”, w rzeczywistości był inspirowany marszowym krokiem wojskowych.

Mała Freda pilnie obserwuje, chłonie, uczy się. Kiedyś to wykorzysta: w niepowtarzalnej, jedynej w swoim rodzaju improwizacji.